Dodatek do Nr. 40 „Prawdy".

RODZINA

PISMO POŚWIĘCONE WYCHOWANIU I NAUCE DOMOWEJ.

Numer 20. Sobota, dnia 3-go Października. Rok 1980

A. GENNEVRAYE.

ULICZNIK.

POWIEŚĆ Z FRANCUSKIEGO.

(Dokończenie).

— Wiecznie to samo! — szemrał młody żołnierz — nigdy widać nie zajrzę w oczy tym Prusakom! A przecież wtedy dopiero można okazać prawdziwą odwagę!

Niejeden myślał tak samo, lecz to nie zmieniło położenia, które było tem przykrzejsze, iż żołnierz odosobniony w tyralierce, pozostawiony sam sobie, nie widzi punktu oparcia. Jego odwaga nie ma świadków, śmierć pozostanie nieznaną, poczucie obowiązku wystarczyć musi za wszystko.

To trudne, najtrudniejsze dla każdego. W szeregach raźniej — poczucie zbiorowej siły podtrzymuje odwagę i zapewnia bezpieczeństwo.

Tymczasem Prusacy zajęli wzgórze Męże i niezwłocznie rozpoczęli stamtąd ogień kartaczowy.

— Fajerwerki! — zawołał jakiś dowcipniś paryski, lecz nikt na to nie odpowiedział.

Smutne przeczucie nowego nieszczęścia przytłaczało wszystkie serca.

Ruchy nieprzyjaciela, mające na celu otoczenie armii francuskiej, stawały się tymczasem coraz wyraźniejsze. Z tarasu zamkowego widać było dokładnie szarżę kawaleryi, która stała się legendową. Dywizya Margueritte okryła się sławą; pierwszy pułk huzarów pod dowództwem margrabiego de Gantes po raz szósty idzie do ataku, aby przeszkodzić artyleryi pruskiej do zajęcia groźnej pozycyi. Na czele swoich huzarów margrabia rzuca się na armaty i ginie śmiercią bohaterską.

Dowódzca żuawów widzi te rozpaczliwe usiłowania jazdy, i nie mogąc znieść dłużej bezczynności, sprowadza swój pułk ze wzgórza. Zresztą południe minęło; widocznie zapomniano o nim, a honor żołnierza nie pozwala mu dłużej być obojętnym świadkiem śmierci ginących wkoło towarzyszów.

Żuawi spuszczają się w dolinę, lecz Prusacy nie tracili czasu i obsadzili swoją artyleryą wszystkie ważniejsze pozycye.

— Nie żałują nam kartaczy! — mruknął jeden z żuawów obok Izydora. — Piękny masz chrzest krucie!

XVIII.

Jeniec.

Nie upłynęła jednak godzina, gdy nadeszły nowe rozporządzenia: Jeden batalion ma bronić wejścia do lasku, otaczającego Garenne, a dwie kompanie pod dowództwem kapitanów Praxa i Seufela, w połączeniu z wojskami liniowemi, mają za zadanie powstrzymać marsz skrzydłowy armii niemieckiej.

Do tej garstki walecznych zaliczono Izydora.

Ruchy te wykonano, a w niespełna pół godziny w kilku punktach naraz rozległy się strzały. Najgorętsza walka wrzała pod Floing. Armia niemiecka, zatrzymana nagle w pochodzie, całą olbrzymią przewagą sił swoich uderzyła na żuawów i wojska liniowe. Ale pozycya była obronną, i upłynęła godzina, nim zdołano ją okrążyć. Cel był osiągnięty: uwaga nieprzyjaciela odwrócona od właściwego ruchu armii francuskiej, i żuawom należało teraz połączyć się jak najprędzej z resztą pułku. Inaczej zagrażało im odcięcie od korpusu i niewola.

Około godziny piątej 1 pułk żuawów znajdował się w komplecie, oprócz trzech kompanii, o których nie było dotąd wiadomości.

— Żołnierze! oto Balan! — zawołał pułkownik. — Musimy je wziąć bagnetem!

— Niech żyje pułkownik! — odpowiedziano w szeregach.

— Nakoniec! — pomyślał Izydor. — Raz przecież będę bił się jak Gaveau.

Życzenie jego spełniło się. Pułkownik stanął na czele batalionu i poprowadził go sam do ataku.

Ruszono z miejsca krokiem podwójnym; żuawom rozjaśniły się twarze, oczy zabłysły: mieli nareszcie to, czego pragnęli od początku wojny, co leży w charakterze narodu i jest wyrazem jego temperamentu... To nie ogień armatni, zabijający bezbronnych na 3 000 metrów, to walka na bagnety, mąż przeciw męża, pierś przeciw piersi...

Pułkownik biegł naprzód, a pierwsze szeregi hamować się musiały, by go nie wyprzedzić. Tym razem nic ich nie wstrzyma: zgniotą i złamią wszystko! Przedmieścia Balan zdobyte, Prusacy złamani cofają się w popłochu, a żuawi z okrzykiem zwycięztwa wpadają w ulice. Tu dopiero zawrzała walka! W ścisku i tłoku, jaki zapanował nagle, żołnierze, nie mogąc użyć bagnetu, biją się na noże i pię-

ście... Prusacy pierzchają. Mała garstka zamyka się w jednym z domków, skąd celnym ogniem razi stłoczone szeregi Francuzów.

Izydor widzi padających towarzyszów.

— Ten dom trzeba zdobyć! — woła i rzuca się pierwszy.

Lecz drzwi mocno zabarykadowane nie puszczają. Izydor spostrzega na drodze złamany słup telegraficzny.

— Do mnie, żuawi!

Kilka par silnych ramion chwyta ciężkie drzewo i uderza niem we drzwi zamknięte; zawiasy pękają, żuawi wdzierają się do środka. Na dole nie znajdują nikogo, wązkie wschody prowadzą na górę. Młody kapral i kilku żołnierzy rzuca się na nie. Rozlegają się trzy strzały i dwóch żuawów ranionych w piersi pada na ziemię. Izydor zaślepiony wściekłością, jednym skokiem dosięga skupionych przy oknie Prusaków i najbliższego przebija bagnetem. Reszta ginie pod ciosami żuawów.

Lecz zbiegając na dół, kapral spostrzega w kącie jeszcze jednego Niemca, kryjącego się trwożliwie. Był to młody, jasnowłosy chłopiec, który na widok zakrwawionej broni, skierowanej przeciwko niemu, rzuca się na kolana, wołając po francusku:

— Łaski! Poddaję się!

Izydor powstrzymał cios zamierzony: kilka trupów leżało na podłodze, dla tych nie było przebaczenia, lecz młody żołnierz wołał po francusku: „Poddaję się!" i Izydor nie miał odwagi go uderzyć. Szybkim ruchem odtrącił zwrócone ku niemu bagnety.

Żuawi zaprotestowali.

— Nie możemy zostawić go żywym, aby strzelał za nami!

— To mój jeniec — odparł kapral. — Zaprowadzę go do kapitana.

Był kapralem, więc chociaż niechętnie, musieli go jednak posłuchać.

— Podnieś się — rzekł do Niemca.

I wziąwszy go pomiędzy siebie, wyprowadzili na ulicę.

Tymczasem reszta batalionu ścigała nieprzyjaciela z taką zawziętością, że Prusacy rozbiegli się na wszystkie strony. Pułkownik dał sygnał do odwrotu, aby zapobiedz zbytniemu rozproszeniu swoich ludzi.

— Skąd wracasz? — zapytał kapitan, ujrzawszy Izydora.

— Zdobyliśmy ten biały domek, tam na lewo, kapitanie.

— Ach, więc to wy przerwaliście ten straszny ogień, który nas dziesiątkował?

— Tak, kapitanie.

— To dobrze, kapralu; zaraportuję to pułkownikowi.

— Wzięliśmy także jeńca, kapitanie.

— Do dyabła! Cóż ja z nim zrobię?

Żuawi, towarzyszący Izydorowi, uśmiechali się złośliwie.

— Poddał się, kapitanie, prosił o łaskę po francusku.

— Nie można go rozstrzelać, ale gdzież go podziejemy?

Izydor obejrzał się wkoło i spostrzegł stajnię, której drzwi zamykały się zewnatrz na rygiel.

— Zostawmy go tu, kapitanie — rzekł — a jak mieszkańcy powrócą, będzie, co Bóg da.

Kapitan machnął ręką.

— Rób z nim, co ci się podoba — odparł i oddalił się w inną stronę.

Niemiec nie stracił ani jednego wyrazu z tej całej rozmowy i sam udał się do stajni. Była pusta. Izydor przekonał się, że drzwi są dość mocne, by oprzeć się usiłowaniom pojedyńczego człowieka, lecz w chwili, gdy miał spuścić rygiel, jeniec chwycił jego rękę i uścisnął ją z wdzięcznością.

Izydor cofnął się śpiesznie i spuścił zasuwę.

Wkrótce znalazł się między swoimi. Balan zdobyto, lecz straty były dotkliwe.

— Nakoniec! — mówili żuawi — daliśmy Niemcom naukę! Jeżeli inne wojska były równie szczęśliwe, wszystko się jeszcze może zmienić.

Niestety, próżna nadzieja!

Na końcu ulicy ukazuje się dwóch jeźdźców. Pędzą galopem. To generał de Hulbek, blady, wzruszony, w towarzystwie adjutanta, który ma strzaskane ramię.

— Wprowadź pan swoich ludzi do fortecy! — woła do pułkownika. — Oto rozkaz, który panu przynoszę. Biała chorągiew wywieszona już dawno na szańcach.

I nie czekając odpowiedzi, której nie radby może posłyszeć, generał oddala się śpiesznie.

— Wszystko stracone! — szepnął pułkownik. — Biedni moi żołnierze!... Ich krew nie ocaliła Francyi!...

O godzinie szóstej 1 pułk żuawów znalazł się pod murami Sedanu. Bitwa była przegrana, przegrana bez ratunku. Wieczorem brakowało do apelu 19 oficerów i 600 żołnierzy; blizko trzecia część pułku pozostała na placu boju, reszta upadała ze znużenia. Od trzech dni żuawi nie otrzymywali żywności i jedli to tylko, co przypadkiem znaleźli na drodze lub pokrzepiali siły łykiem wódki, roznoszonej w szeregach przez odważne wiwandyerki.

Nie myślano jednak teraz o tem, nie myślano o niczem, każdy szukał przedewszystkiem wypoczynku i rad był chociaż na chwilę zapomnieć o wszystkich okropnościach wojny.

Ale nazajutrz żołnierze ujrzeli twarze swych wodzów tak zmienione i poważne, iż pojęli natychmiast, że stało się wielkie nieszczęście. Na nieśmiałe zapytania oficerowie nie dawali odpowiedzi, kazano tylko skierować się pułkowi ku północnej części miasta i zająć miejsce koło szańców.

Izydor, który od czasu Reichshoffen pozyskał względy kapitana Collet, zbliżył się teraz do niego.

— Czy jaka nowa klęska, kapitanie?

— Podpisano kapitulacyę... Nie pamiętam nic podobnego!

I stary żołnierz odwrócił głowę, by ukryć łzy, spadające mu na siwe wąsy.

XII.

Sztandar ocalony.

Wojsko rozłożyło biwaki, oczekując z niepokojem następnego ranka. Pomimo utrudzenia sen pierzchał z powiek żołnierzy — zbyt wielki ciężar przytłaczał im dusze. Nie śmiano nawet rozmawiać.

Nakoniec przybył ordynans, wzywający wszystkich oficerów do generała Ducrot. Wódz naczelny pragnął się z nimi pożegnać. Oznajmił im jednocześnie o ciężkich warunkach kapitulacyi.

— Co do mnie, chciałem przebić się z wami na Mezjer — mówił — ale generał Wimpfen innego był zdania i przeszkodził mi w wykonaniu tego zamiaru. Na mocy drugiego punktu kapitulacyi oficerowie mają prawo powrócić do Francyi, zobowiązawszy się słowem honoru nie podnosić więcej broni przeciw Niemcom. Co do mnie jednak, radzę wam nie rozstawać się z żołnierzami.

Wszystkie serca uderzyły mocniej na te słowa, wszystkie ręce wyciągnęły się do wodza.

— Żegnaj nam, żegnaj! — wołano, a łzy świeciły na niejednej ogorzałej twarzy.

Każdy dowódca udał się stąd prosto do swego oddziału i pułkownik żuawów stanął także przed sformowanymi szeregami, które go oczekiwały.

— Moje dzieci — odezwał się głosem donośnym — jesteśmy jeńcami, musimy opuścić Francyę!

Nagle łkanie głos mu stłumiło. Żuawi milczeli.

— Drugi punkt kapitulacyi — ciągnął dalej po chwili — pozwala oficerom powrócić do kraju pod warunkiem zobowiązania się słowem, że broni przeciw Niemcom nie podniosą; lecz ani jeden oficer, ani jeden, słyszycie, dzieci, nie przyjął tego warunku! Pójdziemy wszyscy razem! Ja także was nie opuszczę!

Cisza — potem krzyk jednogłośny, potężny:

— Niech żyje nasz pułkownik! Niech żyje Francya!

Prości żołnierze śmiało cisną się do niego, każdy pragnie dotknąć szaty wodza, niema tu stopni, są tylko Francuzi, zmuszeni opuścić kraj rodzinny!..

Mają wyruszyć dziś jeszcze do Gler. Batalion gotów do wymarszu, gdy zbliża się do pułkownika podchorąży Berger.

— A sztandar? — pyta smutnym głosem.

— Nie możemy zabrać go z sobą, mógłby się dostać w moc nieprzyjaciela. Trzeba go spalić! Nasz sztandar kochany!

Bierze go z rąk porucznika i przyciska do piersi. W szeregach grobowe milczenie.

— Gdybyś mi go pan powierzył — odzywa się głos jakiś nieśmiało. — Przysięgam, że strzegłbym go jak źrenicy i zwrócił ocalony po skończeniu wojny!

To właściciel fabryki, w której nocowali żuawi, wzruszony niemym żalem pułku, pragnie mu oddać tę przysługę.

W duszy pułkownika toczy się bolesna walka: opuścić sztandar — to straszne! Lecz jeśli to go ocali!.... Oddaje go wreszcie zacnemu człowiekowi.

— Powierzam panu — mówi — honor mego pułku. Każdy z nas poświęciłby życie za ten sztandar, strzeż go jak rzeczy świętej.

— Dziękuję!

Szlachetny człowiek sumiennie dotrzymał zobowiązania i sztandar pierwszego pułku żuawów nie wpadł w ręce nieprzyjaciela, jak tyle innych, niestety!

* * *

Lat pięć upłynęło od tej chwili.

Na dworcu kolei żelaznej ruch i nawoływania, jak zwykle w porze przybycia pociągu. Młody, opalony podporucznik żuawów spiesznie wyskakuje z wagonu i skinąwszy na fiakra, składa swój niewielki, prawdziwie wojskowy tłomoczek.

— Dom Inwalidów! — woła drżącym trochę głosem.

Nic dziwnego: przybywa prosto z Afryki.

Powóz zatrzymuje się wkrótce na znanej mu dobrze ulicy. Młodzieniec wyskakuje szybko, zabiera swoją walizkę i biegnie prawie przez dziedziniec, po którym przechadza się zwolna kilku posiwiałych weteranów.

Młodzieniec zatrzymuje się nagle przed wysokim, szczupłym starcem o drewnianej nodze, i upuszczając swoje zawiniątko, zarzuca mu ręce na szyję.

— Gaveau! sierżancie! to ja, to ja!

Głosu mu braknie, stary wojak cofa się z marsem na czole i wpatruje się uważnie w opaloną twarz żuawa.

— Izydor! — woła blednąc i byłby upadł, gdyby ramię przybranego syna nie podtrzymało go serdecznie.

Tak, był to Izydor ozdobiony medalem, podporucznik 1 pułku żuawów, opalony afrykańskiem słońcem, zahartowany w bojach z Arabami. Weterani otaczają go wkoło, ściskają rece. Gaveau opiera się na nim, jakby się lękał nowego rozstania.

— Nie uprzedziłeś mię o twem przybyciu! — odzywa się wreszcie niepewnym jeszcze głosem.

— Chciałem wam zrobić niespodziankę. A Lansonowie?... pójdźmy do nich.

— Wszyscy zdrowi. Adaś został budowniczym, a Mela otrzymała właśnie patent nauczycielki. Chodź, zastaniemy wszystkich przy śniadaniu.

I nie tracąc czasu, zwracają się ku Esplanadzie.

— To nasza ławka — mówi Izydor przechodząc.

Gaveau ma znowu łzy w oczach.

Sklepik przy Avenu de la Motte-Piquet rozszerzył się i zmienił swoją powierzchowność, znać w nim większe zasoby i zamożność. Przyjaciele weszli do sąsiedniej izby, gdzie cztery osoby siedziały przy stole.

— Zgadnijcie, kogo wam sprowadzam! — woła sierżant z błyszczącym wzrokiem.

— Izydor! — odpowiada piękna, jasnowłosa panna i nagle oblewa się ciemnym rumieńcem.

— Czy to Mela? Nie, to być nie może! — pyta zdziwiony podporucznik.

— Tak jest, mój zuchu! Przywitajże ją! cóż to znowu? — śmieje się Gaveau, widząc pomieszanie obojga.

Lecz Izydor nie śmie się zbliżyć. Mela wysoka, smukła w jasnej sukience i złotej koronie pysznych włosów, wydaje mu się królową.

— Uściskajże ją, dudku! — powtarza, popychając go lekko sierżant. — Jesteś, widzę, bardzo wybredny, kiedy ci Mela nie trafia do gustu! Cóż to do stu piorunów, czy nie śliczna dziewczyna?

— I Izydor wyrosł także na bardzo przystojnego oficera — odzywa się grzecznie mama Lanson. — Pójdźże, mój chłopcze, uściskaj nas po dawnemu, byliście przecież zawsze jak rodzeństwo.

I serdeczny pocałunek składa na czole młodego żołnierza, który korzysta natychmiast z pozwolenia uściskania Meli.

— Przepowiadałem ci przecież, że będziesz żoną oficera — powtarza Gaveau, zacierając ręce.

W sześć tygodni później w Domu Inwalidów obchodzono wielką uroczystość: wychowaniec i syn przybrany sierżanta Gaveau, Izydor, zaślubiał pannę Melanię Lanson. Sam generał przyrzekł mu być

drużbą, drugim był sierżant Busard, który po utracie ręki zamieszkał także w tym przytułku weteranów.

— Winienem mu tę przysługę — powtarzał uszczęśliwiony — on mi ocalił życie!

Generał zaprosił młodą parę do siebie na obiad wraz z rodzicami panny młodej, sierżantem Gaveau i Busardem, a przy wiwacie oznajmił o przeniesieniu Izydora do pułku, stojącego we Francyi, dodając że go mianuje swoim adjutantem.

— To zawiele! — szepnął Gaveau, ocierając łzy skrycie. — Czuję, że się stanę tchórzem. Za bardzo kocham te dzieci!

Wyrób wina owocowo-miodowego.

Przyroda poskąpiła nam wprawdzie słodkich winogron, zdatnych na wyrób wina, ponieważ warunki klimatyczne kraju naszego, nie dozwalają uprawy winorośli, lecz za to obdarzyła nas hojnie soczystemi innemi owocami, i nektarem przez pszczółki nasze sowicie nagromadzonym, z których przez umiejętne zespolenie możemy wyrabiać napoje w niczem winu z winogron nie ustępujące. Dziwnem to doprawdy, że przy panującej u nas powszechnie biedzie wolimy dotąd trwonić grosz na zakupno drogich win, wódki lub piwa, zamiast korzystając rozsądnie z daru Bożego wyrabiać sobie zdrowy napój nie tylko na potrzebę własną, ale nawet i na zaopatrzenie w niego i drugich.

Do wyrobu wina nadają się wszelkie owoce, jak: porzeczki, agrest, maliny, czereśnie, wiśnie, berberys, derenie, jabłka, gruszki, lubaszki, śliwki, poziomki, czernice, orzyny, winogrona i t. p., słowem wszelkie owoce, które zawierają w sobie słodycz i kwas, a nie są trujące, szkodliwe lub niesmaczne. — Wyrób zaś wina jest bardzo prosty. I tak: zbiera się odnośny owoc w stanie dojrzałym, ugniata go w jakiem naczyniu za pomocą pałki na miazgę, a następnie zwykłym sposobem wytłacza się z niego sok. Kto posiada tłocznię, oczywiście użyje takowej. Do soku tego dodaje się wody i miodu czystego, poddaje się fermentacyi czyli kiśnieniu, a po ukończeniu tego, wino jest gotowe. Chodzi tylko jeszcze o to, ile dodawać do tego soku wody, a ile miodu, i jak fermentacyą przeprowadzić.

Doświadczenie pouczyło, że do owoców kwaśnych, jak porzeczki, wiśnie, berberys, derenie, śliwki, orzyny — należy dodawać na każdy litr czystego soku — 6 litrów wody rzecznej, lub czystej studziennej, i do tego dwa litry miodu patoki. Do owoców słodkich, jak agrest, maliny, czereśnie, gruszki, lubaszki, poziomki, czernice, dodaje się na każdy litr soku czystego — 3 litry wody i 1 litr miodu.

Sok, woda i miód zlewa się do kupy i mięsza dobrze. Dodać wypada jeszcze, że przy wytłaczaniu soku, można na wytłoczyny jeszcze raz trochę wody nalać, przemiażdżyć na nowo i wycisnąć, lecz ten drugi sok liczy się już jako wodę, a nie jako czysty sok; więc dajmy na to: jeźli mamy 1 litr soku porzeczkowego czystego, a półtora litra soku wodnistego z drugiego wytłoczenia, to dodamy tylko jeszcze 1 i pół litra czystej wody i 2 litry patoki. Zamiast miodu można także użyć zwykłego białego cukru, przy czem bierze się zamiast 1 litra patoki 1 kilogram cukru.

Nie szkodzi też bynajmniej, jeżeli kilka gatunków owocu zmięszamy razem, a nawet czarne porzeczki, maliny, poziomki i derenie można uważać jako bardzo korzystną przymieszkę do każdego wina.

Moszcz ten tak doprawiony i dobrze przemięszany zlewa się do jakiegobądź naczynia, np. beczki, garnka, butelki — otwór tego naczynia nakrywa się (obwiązuje) czystym papierem, w którym robi się dziureczki grubą igłą i ustawia się w miejscu suchem w niezbyt zimnej piwnicy, jeżeli tej niema, to w chłodnej izbie. Po kilku dniach zacznie płyn fermentować czyli kisnąć, co poznać po „szypieniu" czyli po szeleście, jaki przy nastawieniu ucha z płynu nas dolatuje. Szypienie to powodują maleńkie bańki kwasu węglowego, które przy fermencie z płynu się wydobywają.

Im chłodniejsze miejsce, tem dłużej płyn będzie ferfentował, aż wreszcie po skończonym fermencie w 3 do 6 miesięcy szypienie zupełnie ustaje, a płyn wpierw mętny zupełnie się zczyszcza czyli klaruje. Po zupełnem zczyszczeniu się płynu — wino już gotowe, — i można je z tego naczynia zlać ostrożnie do butelek, bacząc na to, aby drożdży na spodzie się znajdujących nie skłócić. Można też wino zlać do innej beczułki lub też zostawić spokojnie w tej samej, pamiętając tylko na to, ażeby wino dobrze zakorkować lub zatkać w beczce, iżby nie wietrzało, gdyż nie zatkane może potem skwaśnieć. Po skończonym fermencie należy wino przechowywać dalej chłodno, a gdyby nie było piwnicy, to najlepiej je zakopać w zacienionem suchem miejscu w ziemię.

Wyrób ten wina, jak widać, jest bardzo prosty i nie może się nie udać, należy tylko przestrzegać przy tem wszystkiem jak największej czystości. Dlatego też wszelkie naczynia i przybory użyte do wyrobu wina muszą być dokładnie wymyte i wodą wyparzone. Beczki użyte do fermentu muszą być dokładnie wymyte i wodą wyparzone, a kto może, powinien je wysiarkować t. j. kupić siarkę na płacie i płat ten zapalony wpuścić na drucie do beczki przez szpunt i zatkać, w kilka godzin dopiero szpunt się otwiera i beczka płucze się wodą, aby ją z zapachu siarki oczyścić. Beczka, w której był jaki płyn skwaśniały, n. p. ocet, kapusta i t. p. nigdy do fermentu użytą być nie może. Jeżeli kto użyje do fermentu garnka, to ten powinien być albo pobielanym i dobrze wymytym, albo też, jeźli to garnek tak zwany „zgrzebny", niepobielany — musi być nowym i doskonale wyparzonym.

Obojętnem jest, czy beczka lub naczynie będzie pełnem lub nie. Byleby tylko zachowany był dokładnie podany tu stosunek i czystość wzorowa, to wino zawsze się uda. Można też dać większy stosunek miodu jak ten wyżej podany, wtedy otrzyma się wino słodkie; mniejszego atoli stosunku miodu jak podany, nie radzę nikomu użyć, gdyż wtedy najczęściej otrzyma się ocet a nie wino. — Sadźmy przedewszystkiem w ogródkach naszych porzeczki i agrest, a będziemy mieli wino doskonałe co roku. Wina te są tak dobre, że nieraz już niemi wytrawny znawca został w pole wywiedziony.

Nakładem redakcyi „Prawdy", Kraków. — Czcionkami „Katolika", spółki wyd. z ogr. odp., Bytom.